Przegląd sportowy.

№ 6. Czerwiec 1913 r.

Według zdjęcia p. Fr. Ejsmonda. Łup.

Z podjazdu.

Wczesny wieczór czerwcowy.

Zbiera się trochę na burzę, ale... ale „może się przetrze". Któż z myśliwych prawdziwych nie wymawia dziesięć razy w roku tego „może". Choćby już lało, choćby pioruny biły, — „może się przetrze".

Mój Grzegorz, stary gajowy, dumał melancholijnie na koźle małej bryczuszki, którą zawieźć miał mnie na podjazd wieczorny do lasu. Od czasu do czasu spoglądał na niebo i w okna dworu wiejskiego. Pojedzie, czy nie pojedzie? A chciałby, żebym pojechał, bo łasy jest na trzyrublowe papierki, które mu daję za każdego kozła. A przytem kocha myśliwstwo, lubi włóczyć się ze mną po lesie i chwalić się znajomością wszystkiego, co żyje w polu i kniei.

Spojrzałem na zegarek. Godzina piąta. Trzy wiorsty do lasu. Czas najwyższy coś postanowić: Jechać, czy nie jechać?

Pojechałem, oczywiście.

— Może się przetrze — bąknąłem.

— Może się przetrze—przywtórzył Grzegorz.

Jedziemy. Już od kilku tygodni broni w ręku nie miałem. Gdy w kwietniu kończą się toki cietrzewi i głuszców, gdy słonka ciągnąć przestaje, niema u nas na co polować. Chyba jakiś przypadkowy kaczor na bagienku...

Dopiero w końcu maja i początkach czerwca, gdy wszystkie kozły dobrze już powycierały swe nowe rogi, znów knieja wabić zaczyna. Rankami i wieczorami wyłaniają się z gąszczów sarny na leśne polany. Pojedyńczo, parami, czasem rudlem całym pasą się w trawie wysokiej. Znaleźć wśród nich najpiękniejsze rogi i posłać kulę rogatemu sułtanowi lasów naszych, oto cudne, draźniące i niepokojące marzenie majowe myśliwych.

A Grzegorz mówi, że stary kozioł, na którego w roku ubiegłym polowałem daremnie, jeszcze się włóczy po lesie. Widział go wczoraj... Ósmak rzadkiej piękności...

Wiem, wiem. Rok temu właśnie, w pierwszych dniach czerwca, widziałem go zblizka. Wpiłem w niego lornetkę myśliwską i omal nie krzyknąłem z zachwytu. Ale dyabeł jakiś czuwał nad tym kozłem. Stał na kroków pięćdziesiąt, odsłonił komorę, zdawało się, że chybić nie mogę. A jednak pudło, haniebne pudło!

— Zaczarowany, czy co?—mruknąłem.

Grzegorz nic nie odpowiedział, ale oczy błysnęły mu dziwnie. Dopiero nazajutrz odzyskałem jego szacunek, gdy w tem samem miejscu zabiłem kulą żerującego żórawia.

Wjeżdżamy wreszcie w las. Orgia zieloności! Szał wiosennego życia i przepychu! Jedziemy wązką ścieżyną, wśród zagajników dość gęstych, ale mających gdzieniegdzie jakby małe okienka, odsłaniające tajemnice wnętrza.

Wpatruję się w gęstwinę. Staram się oko oswoić z barwą i ruchem lasu.

Lecz komary tną niemiłosiernie, jak zwykle, przed burzą.

— Stój!

Wyciągam z kieszeni flakonik z olejkiem kamforowym i smaruję twarz, szyję i ręce. Trochę to chroni, ale niezupełnie. Wogóle walka z komarami w mokrych lasach jest trudna. Żrą bez pamięci. Nie lubię welonów muślinowych, któremi niektórzy myśliwi osłaniają głowę, farmacya zaś dostarcza tylko lichych półśrodków.

Lecz trudno. Wytłuściłem się, wsunąłem do Manlichera naboje, wydobyłem lornetkę dla wypatrywania rogaczów, — jedziemy!

Lunety nie mam przy sztucerze. Wiem z doświadczenia, że w naszych warunkach, przy leśnych podjazdach, modny ten przyrząd jest prawie zupełnie zbyteczny. Co innego w górach przy polowaniu na kozice, lub tam, gdzie sarny rudlami włóczą się po polach i strzelać trzeba często na daleką metę, ale u nas ani gór z kozicami, ani sarn polnych niema. A w lesie strzał do kozła jest prawie zawsze blizki.

Jedziemy. Bryczka toczy się leśną drogą powoli. Grzegorz spogląda uważnie na prawo i lewo.

Dla oka, nie przywykłego do kniei, wypatrzeć sarnę jest często rzeczą trudniejszą, niżby się zdawało. W paprociach lub trawie wysokiej łatwo ją prześlepić. A czasem pień żółty lub liście przywiędłe wydają się żywem zwierzęciem. Ale mój Grzegorz nie zawodzi nigdy. Mogę nawet własnych oczu nie trudzić i marzyć o niebieskich migdałach. Ach! gdyby nie komary!... Co chwila zapalam papierosa, co chwila uderzam się w szyję lub policzek, aby spłoszyć krwiożercze owady. Nie sposób marzyć spokojnie i pić poezyę wieczoru leśnego.

Cyt! Grzegorz wskazuje coś batem. Jakaś plama żółta wśród świerków. Sarna, niewątpliwie, ale któż zgadnie: Kozioł, czy koza?

— Może to ten stary? — mówię pocichu.

— Ej! gdzie tam! Tamten jest ciemny i trochę siwawy. Pewnikiem koza, bo i coś małego przy niej mignęło. Szkoda czas tracić.

I jakby chciał oddalić odemnie pokusę, uderzył batem po koniach.

Za chwilę skręcamy na łąkę, u-

sianą kępami leszczyny. Już z daleka widzę pasące się sarny. Przykładam do ócz lornetkę. Trzy duże kozy, a wśród nich mały koziołek. Podniosły głowy, wyciągają szyję i patrzą uważnie na bryczkę. Strzał byłby wygodny, ale kozioł jest młody, z małemi różkami.

— Nie warto. Prawda, Grzegorzu?

A Grzegorz mówi:

— Pojedziemy dalej. Jeźli nie wypatrzymy nic lepszego, wrócim tu znowu. One się nie ruszą.

Teraz wjeżdżamy w las duży. Naprzełaj! Koła bryczki lgną wśród paproci i podskakują na korzeniach. Z pod samych koni zerwała się słonka. Ej! żeby tak trzymać w garści śrótówkę. Ale któżby się tu o tej porze słonki spodziewał. Widywałem je nieraz na ciągu, ale lęgowych słonek nigdy tu nie bywało.

W tej chwili Grzegorz stanął i bąknął:

— Jakie to głupie!

Przed bryczką stało koźlątko, jakby w ziemię wrosłe. Tak było zdziwione naszym widokiem, że mogło się dostać pod konie, gdyby gajowy lejcy nie ściągnął.

— Musi tu gdzieś być i stara — rzekł, rozglądając się wkoło. I po chwili batem pokazał na lewo.

Krótki, ledwie dosłyszalny bek. Koźle pomknęło ku matce.

— Leć, głupie, do matki! leć!

I znowu mija kwadrans. Spoglądam na zegarek,—minęła już siódma godzina. A chmury kłębią się coraz groźniej i coraz ciemniej jest w lesie.

— Niech Grzegorz pogania. Wyjrzymy na łąki, a jeśli i tam nic nie będzie, wrócimy po tego szpicaka.

Lecz Grzegorz, jak na złość, staje.

— Co tam?

Nie odpowiada. Tylko ręką daszek zrobił nad oczyma i patrzy na lewo.

— Jest — mruknął wreszcie.

— Co?

— On!

Spoglądam przez lornetkę w kierunku ócz Grzegorzowych.

Rany boskie! To on! Mój ósmak! Idzie powoli, o jakieś dwieście kroków od bryczki. Nie widzi nas, nie ogląda się.

A Grzegorz już konie zaciął.

— Dokąd jedziesz?

— Na sołtysową polanę. Kozioł tam ściąga. Pójdzie przez zagajnik świerkowy i wyjdzie na łąkę. Musimy objechać.

Skręcił w przeciwnym kierunku na prawo i dotarł do drogi leśnej. A potem kłusem pół wiorsty i znowu naprzełaj przez las na lewo.

Polana. Duża polana. Grunt mokry, torfowy. Gdzieniegdzie żółcą się kwiaty. Gdzieniegdzie bieli się brzezina, a na samym końcu krze duże. Jedziemy prawą granicą lasu i łąki. Po tamtej stronie polany jest zagajnik, z którego wyjść ma mój kozioł. Ale czy wyjdzie? A nuż się Grzegorz omylił. Wszak teraz żeru jest wszędzie wbród. Może się pasie w lesie, może wcale na łąkę nie wyjdzie.

Coś stoi w trawie wysokiej. Koza! Dalej druga i trzecia. Same panienki! Psiakrew!

Lecz oto Grzegorz zwraca się nagle do mnie i, nie zatrzymując koni, nie mówiąc słowa, głową wskazuje przed siebie.

Jest! Widzę go. Poznaję bez lornetki, gołemi oczyma. Ósmak, mój ósmak! Ciemny, a z przodu jakby trochę srebrzony. Stoi o sto kroków odemnie, na samym środku polany, wśród rzadkich krzaków. Ten sam, ten sam!

Dostrzegł nas. Przestał się paść i patrzy. Grzegorz wciąż jedzie, powoli, powoli. Wie, że gdyby stanął na jednę sekundę, ten kozioł w mgnieniu oka ruszyłby pędem do lasu. Stary ćwik! Ostrożny, jak drop.

Toczy się bryczka ruchem ślimaczym, ale się zbliża, zbliża coraz więcej. Za chwilę zrównamy się z kozłem i czas najwyższy wyskoczyć, przypaść do ziemi i strzelić. Ale boję się spłoszyć zwierzynę. Skraj polany, po którym jedziemy, jest prawie zupełnie odkryty. Po prawej stronie mam wprawdzie las, ale między bryczką a lasem dziesięć łokci trawy bez wszelkiej osłony.

Co to? Kozioł się ruszył. Poskoczył kilkanaście kroków i stanął. Czuję, że dłużej czekać niepodobna. Już zwietrzył niebezpieczeństwo, już zaczął się niepokoić. A Grzegorz odwrócił się trochę i rzucił mi ledwie dosłyszalnym szeptem:

— Pójdzie!

Postawiłem nogę na stopniu bryczki po przeciwnej stronie wpatrzonego w nas kozła. O pięć kroków jest mały krzaczek. Liche zakrycie, ale lepsze takie, niż żadne. Jeszcze kilka sekund. Zeskoczyłem w biegu, potknąłem się i twarzą zaryłem w trawie pod krzakiem. To nic! Byle tylko nie zepsuł się sztucer.

Oglądam zamki. W porządku.

Ostrożnie wychylam głowę z za krzaka. Kozioł wciąż stoi, wpatrzony w odjeżdżającą bryczkę. Idzie za nią oczyma, śledzi ją czujnie i, choć się koni nie lęka, rad jest, że się oddala. Nie przeczuł łowczego fortelu. Z dwóch wrogów tylko jeden został na bryczce, ale rogacz liczyć i kombinować nie umie.

A ja tymczasem gotuję sztucer i siebie do strzału. Odsuwam zabezpieczenie Manlichera, przyklękam na prawe kolano, mierzę oczyma odległość.

Sześćdziesiąt kroków! Może trochę mniej, może i więcej. Ale strzał niewygodny. Kozioł tak stoi, że widzę tylko kark i głowę, resztę zasłania mi kępa drzew.

Więc czekam jeszcze. W tej chwili grzmot daleki zahuczał i grube krople deszczu spadły mi na głowę odkrytą. Coraz ciemniej! Błyska się. Piorun uderzył w pobliżu.

W tej chwili kozioł, jakby zaniepokojony muzyką burzy, ruszył się. Wyszedł z osłony drzew i rozgląda się wkoło.

Teraz albo nigdy!

Podnoszę sztucer, mierzę długo, — trzasnął strzał krótki i suchy.

Kozioł podskoczył, potknął się, przyklęknął. Podnosi się, jakimś kurczowym, nienaturalnym ruchem idzie ku krzakom i niknie mi z oczu.

Ale on mój! Nie czuję żadnej obawy. Wiem, że trafiony śmiertelnie.

Wstaję i z sztucerem w ręku biegnę wślad za nim; brnę po mokrej łące i potykam się tak, jakbym sam kulę otrzymał.

A kozioł już dogorywa. Widzę go w trawie zdaleka. Nogi konwulsyjnie kurczą się i prężą.

Prawidłowy strzał na komorę.

Mój!

Grzegorz nadjechał. Zobaczył mnie na łące, zsiadł z bryczki, obejrzał rogi i mruknął:

— Takich, to jeszcze nikt tu nie ustrzelił.

Jedziemy. Deszcz leje, las huczy i pioruny biją. Wściekły paroksyzm natury!

Ale u nóg mych leży najpiękniejszy rogacz tej kniei. *W. R.*

WIOSENNY SEZON SPORTOWY W WARSZAWIE.

Z pola mokotowskiego.

Plac wyścigowy w Warszawie, w sezonie wiosennym, jest jednem z najmilszych miejsc spacerowych naszego miasta, gdzie zakuci w murach mieszczuchy mają możność spędzenia paru godzin na świeżem powietrzu, a z górnego tarasu głównej trybuny — ogarnięcia wzrokiem szerszej przestrzeni.

Niesposób skarżyć się tam na brak powietrza. I te właśnie dodatnie strony naszego toru są głównym (poza grą) magnesem, przyciągającym do trybuny wyścigowej coraz to zwiększającą się obecnie ilość osób.

Warszawa, zresztą, lubi wyścigi. A i samo położenie toru w środku niemal miasta oddawanie się rozrywce tej ogromnie ułatwia. To też gdyby jeszcze prawdziwi miłośnicy konia mieli możność przyglądania się w warszawskich szrankach walkom szermierzy naprawdę wartościowych, ponowny okres rozkwitu naszego toru stałby się faktem niewątpliwym.

Na nieszczęście jednak, dzisiejsze warszawskie wyścigi nie są zdolne zaspokoić najskromniejszych choćby pod tym względem wymagań.

 Fot. Saryusz Wolski.

Pp. Wojciech Kossak, Edw. Berson, Edwardowa B., Władysławowa G.

Wiceprezes W.K.S., p. St. Lilpop i p. Wanda S.

Włodz. ks. Czetwertyński.

p. Michał Berson, właściciel znanej stajni wyścigowej.

M. hr. Zamoyski, L. bar. Kronenberg, A. hr. Potocki, pp. J. Komierowski i W. Reszke

p. Krumpel, kierown. zwycięsk. stajni młocińsk. pp. Łazarewów.

Gonitwy — są selekcyą materyału stadnego, próbą istotnej wartości wychodzących w szranki koni. Niestety, brak współzawodnictwa na naszym torze, co jest wynikiem nietylko braku koni, lecz jeszcze i niechęci do walki właścicieli stajen, sprawia, że wyścigi nasze najzupełniej nie spełniają swego zadania i są obecnie sztuką dla sztuki jedynie.

Jesteśmy w połowie sezonu dopiero, a jednak już dziś, z całą pewnością orzec można, że najlepszemi się u nas okazały: z trzyletnich źrebców: Demosthenes, Marat i Amiphares, wszystkie będące chowu i własnością pp. E. i M. Łazarewów, z trzyletnich źrebic — Princess Magdalen, zagraniczna, własność p. L. Mantaszewa, z koni starszych wreszcie — Dargot, ze stada i własność pp. E. i M. Łazarewów, oraz Pikador, ze stada p. W. Maleszewskiego, wł. p. A. Papadżanowa.

Z koni tych, Demosthenes jest synem w Anglii urodzonego Darley Dale'a (z krwi słynnego St. Simon'a) i we Francyi urodzonej Mosquée. Źrebiec ten wygrał, w trzecim dniu sezonu, otwartą nagrodę imienia znamienitego Rulera, będącego sławą naszej hodowli, bijąc kruszyńskiego, przybyłego z Austryi, Madeja.

Marat krwią — należy w zupełności do hodowli francuskiej, jego rodzice bowiem, tak ojciec, Le Sagittaire, jak i matka, Madagascar,— są produktami hodowli francuskiej, a i sam Marat — urodził się również we Francyi. Piękny, kasztanowaty źrebiec ten wygrał, będąc w pół zaledwie kondycyi, Produce od koni zupełnie innej klasy: Liny, Marszałka i Alicante, jego więc wartość istotna pozostała, jak była, najzupełniej niewiadoma.

Amiphares (po Hébron, od Amphiroe) wreszcie odznaczył się tem, iż pobił Princess Magdalenę.

Ta ostatnia, będąca córką Darley Dale'a i Maddalen'y, własność p. L. Mantaszewa, nabyta na licytacyi w Deauville, wyróżniła się, bijąc *hands-down,* jaknajłatwiej, Selikę, pp. F. Jurjewicza i A. hr. Wielopolskiego, która była zawsze lepsza od swej towarzyszki stajni, Liny, tryumfatorki naszego Oaks'u.

Z koni starszych, nagrodę im. J. hr. Zamoyskiego wygrał zupełnie ła-

„Derby" warszawskie w dniu 1 czerwca r. b. na polu mokotowskiem. *Fot. Saryusz Wolski.*

Ks. Stanisławowa L.

Pani Stanisławowa G. i panna G. p. St. Goldfeder.

Rodzina hr. W.

„Demosthenes" ogier pp. Łazarewów, zwycięzca warszawskiego Derby.

Hr. Morsztyn, uczestnik biegu dżentelmeńskiego na swojej „Łunie".

iwo Dargot, syn Darley Dale'a, w Anglii, jak już wspomniałem, urodzonego, oraz w Anglii również urodzonej Microphone. Źrebiec ten wygra, prawdopodobnie, i nagrodę „Cesarską", ponieważ najgroźniejszy jego przeciwnik, Pikador, po ur. w stadzie p. J. Reszkego, Pickwicku i Beatcherstore, pomimo wyjątkowego zdrowia i odporności, nie zdaje się mieć dość klasy, by mógł marzyć o zwycięskiej walce z tak groźnym przeciwnikiem.

Prędzej uczynić to może kruszyński Książę Pan, zwycięzca „Grand Prix" w Baden-Baden, w 1911 r., jeżeli wyjdzie do wyścigu w dobrej formie.

Taki jest *à vol d'oiseau* przegląd i wynik wiosennego sezonu w Warszawie.

Nie można go nazwać pomyślnym.

Nie da on nic naszym stadom.

Pocieszać może to tylko jedno, że faworytem na austryackie Derby jest, mimo dzisiejszego upadku hodowli naszej, koń, urodzony w naszym stadzie: kruszyński Mości Książę, syn u nas w kraju urodzonych: Sac-à-papier i Izbicy.

Źrebiec ks. W. Lubomirskiego znajduje się w doskonałej kondycyi, która mu umożliwi wykazanie wszystkich jego zalet. To też zwycięstwo uważaćby można za niewątpliwe, gdyby nie obawa, czy pozwolą na to... wiedeńscy bookmackerzy, gdyż dla ich kas wygrana tak silnego faworyta byłaby zbyt dotkliwą.

Dzień Derby pod względem tłumów, które wypełniły trybuny po brzegi, doboru towarzystwa i przepychu toalet — był w zupełności udany.

Zato na torze — działo się o wiele gorzej. Najważniejszą gonitwę roku, jaka jest na każdym torze wyścigowym o nagrodę Derby, podzieliły pomiędzy sobą dwie stajnie: pp. E. i M. Łazarewów oraz ks. Władysława Lubomirskiego. W polu był jeden tylko koń klasy, Demosthenes. Wobec braku konkurencyi — syn Darley-Dale'a nie mógł nie zostać derbistą; to też został nim — bez walki.

Drugie miejsce zajął syn Hebron'a, Amiphares, w zastępstwie Marata, który zakulał po ostatnim — prze derby — galopie.

I nagrodę „Cesarską" wygrał przedstawiciel potężnej młocińskiej stajni, Dargot, nie łatwo wszakże lecz po walce dopiero z kruszyńskim Księciem Panem.

Brzask.

Sezon wiosenny w K.S.W.

Koło Sportowe w Warszawie przeżywa obecnie kulminacyjną chwilę swego sezonu. Na wszystkich terenach Koła życie i praca wre w całej pełni, a powodzenie poszczególnych sportów dowodzi, iż Koło spełnia swe posłannictwo krzewienia zamiłowania do sportów z całą gorliwością.

W chwili obecnej Koło rozpoczęło zapasy prawie jednocześnie na hippodromie i kortach tennisowych w parku Agrykola, oraz na standzie przy ul. Czerniakowskiej.

„Wiosenny" konkurs tennisowy zgromadził dziesięć pań i dwa razy tyle panów.

Oprócz wytrawnych graczy, którzy zdobyli już wawrzyny nie na jednym korcie, — i z tego konkursu wyszli zwycięzcami — mieliśmy sposobność zobaczyć kilka świeżych, młodziutkich sił, bardzo obiecujących na przyszłość. Do tych w pierwszym rzędzie zaliczyć należy hr. Tyszkiewiczównę oraz hr. Potockiego.

Wynik „handicapów" był — co na dobro komisyi konkursowej zapisać należy — przewidziany już po pierwszych „game'ach" gry konkursowej. Hand. single dla pań — wy-

Konkursy hippiczne w Kole Sportowem Warszawskiem.

Fot. Saryusz Wolski.

Sędziowie K. hr. Skarbek, p. Kurnatowski, S. hr. Komorowski.
Siedzą: M. hr. Potocki, W. hr. Komorowski.

Komitet: członkowie Koła pp. K. hr. Plater, Borowski, marg. Wielopolski, Z. ks. Lubomirski, T. hr. Zamoyski.

Rozdawanie nagród przez margr. Wielopolskiego, pp. Dachowskiemu, A. hr. Żółtowskiemu i B. Peretiatkowiczowi.

p. T. Dachowski z dwoma zwycięzcami: „Zepelinem" i „Sodalisem".

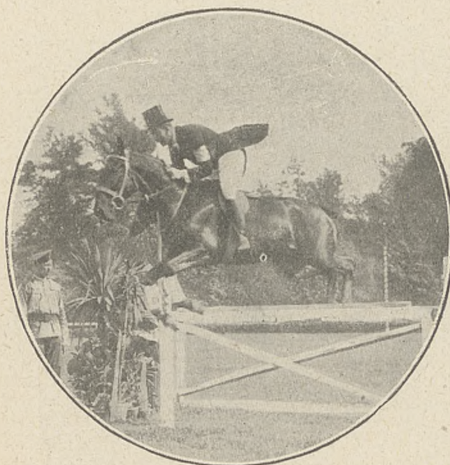

A. hr. Żółtowski.

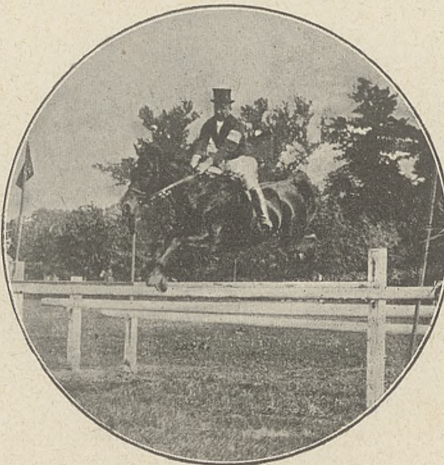

B. Peretiatkowicz.

p. Lenczewski.

grała hr. Sobańska, która wykazała znakomitą szkołę. II nagrodę otrzymała p. J. Nowodworska. Hand. doubles dla panów wygrali pp. Calder i Nicols; II nagrodę przyznano pp. W. Zawiszy i Drewnowskiemu.

„Open mixed doubles“ zdobyła p. Poradowska i p. Wołowski; II nagrodę — p. Neumanówna i p. Kleinadel. Zwycięzcy otrzymali nagrody: piękne przedmioty wartościowe — z rąk hr. Zygmuntowej Wielopolskiej.

Wyraz uznania należy się też Michałowi ks. Woronieckiemu i Włodzimierzowi ks. Czetwertyńskiemu, którzy niemało trudu włożyli około zorganizowania konkursu, tak pomyślnie zakończonego.

* * *

Konkursy końskie K. S. W., aczkolwiek bardzo wolno, z każdym jednak rokiem wykazują rozwój. Sprzyja temu w znacznej mierze troskliwa gospodarka „Komisyi hippicznej“, która w r. b. wprowadziła do programu konkursów specyalny konkurs myśliwski dla jeźdźców cywilnych, t. zw. „habit rouge“. Konkursy hipiczne wypełniły też długie popołudnia (od g. 3 pp. do 8 w.) w srodę, sobotę ub. t. i wtorek b. t. Kiedy będą wiadome dokładne statystyczne dane, dotyczące jeźdźców, koni i podziału wygranych — do sprawy tej powrócimy jeszcze w najbliższej przyszłości. Tu zaś zaznaczamy tylko, iż udział koni w tegorocznych konkursach był nader liczny, a z jeźdźców— oprócz dobrze nam znanych z lat ubiegłych — pp. Tadeusza Dachowskiego, Bronisława Peretjatkowicza i hr. Żółtowskiego — jeździli hr. Maciej Poniński, R. Lubowiecki i J. Lewandowski.

* * *

Wiosenne „Tir aux pigeons“, rozpoczęte zaledwie przed kilkunastu dniami, nie zaznaczyło się dotychczas wybitniejszemi momentami. Dwie najgłówniejsze nagrody „Championat“ i „Im. Stanisława Lilpopa“ (1000 rb.) rozgrywają się właśnie w chwili oddawania numeru naszego pod tłocznię — wyniki tych więc konkursów zmuszeni jesteśmy odłożyć na przyszłość najbliższą. s.

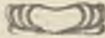

Najpierwsza piechurka w świecie.

Bawiła w Warszawie młoda angielka, p. Henrykowa Humphries, która podjęła się przejść pichotą 48,000 mil ang. naokoło świata w ciągu 4 lat. Klub nowo-yorski „Polo Monthly“ ofiarował jej za to 10,000 dolarów. P. Humphries ma stanąć w Nowym-Yorku w lipcu 1915 roku. *Fot. Saryusz Wolski.*

Fot. Saryusz Wolski.

Konkurs Lawn-Tennisowy w Warszawie.

1. Hr. Sobańska. 2. pp. Zawisza i Drewnowski. 3. Włodz. ks. Czetwertyński, na trybunie sędziowskiej. 4. pp. Wolanowski, i Poradowska. 5. pp. Calder i Nichols.

 Fot. Saryusz Wolski.

W niedzielę, dnia 1 b. m., członkowie Kółka Myśliwskiego św. Huberta, zorganizowanego w r. 1892 przez grupę członków Praw. Myśl. w Warszawie, obchodzili jubileusz 20-letniego istnienia Kółka. Uroczystość rozpoczęto nabożeństwem w kościele parafialnym w Karczewie, poczem wszyscy członkowie oraz zaproszeni goście udali się do leśniczówki Kółka, t. zw. „Hubertówki" w dobrach Otwockich' gdzie na wspólnej biesiadzie spędzono dzień cały, Kółko św. Huberta liczy obecnie 18 członków i rozwija się bardzo pomyślnie.

Zjazd skautów.

Kolebka skautingu, Anglia, obchodzić będzie znowu w roku bieżącym uroczystość skautową. Jest nią wielki zjazd skautów, który w lipcu odbędzie się w Birminghamie z udziałem 50.000 skautów angielskich, reprezentacyi skautowych innych narodów i t. p.

Pocieszającym jest objawem, że w zjeździe tym polacy nie będą świecić nieobecnością, jak to bywało dotychczas na wszystkich igrzyskach olimpijskich, międzynarodowych popisach siły i zręczności. Młodzież polska, zorganizowana w drużyny skautowe, zwłaszcza w Galicyi, mieć będzie w Birminghamie swą reprezentacyę; na urządzanej równorzędnie ze zjazdem wystawie skautowej zorganizowany zostanie oddział polski, prócz tego pojawi się w języku angielskim broszura, obrazująca dotychczasowy rozwój ruchu skautowego w Polsce.

Zjazd w Birmingham jest trzecim z rzędu wielkim zjazdem ogólnym skautów. Pierwszy odbył się w r. 1909 w ogrodach Pałacu Kryształowego z udziałem 11.000 skautów, w obecności biskupa Taylor-Smitha i twórcy organizacyi, generała Roberta-Baden-Powella. W drugim zjeździe, w Windsorze, w lipcu 1911 roku, wzięło udział 40.000 skautów, co samo dowodzi już niesłychanego rozwoju ruchu. Zwrócił na niego uwagę i król angielski, Jerzy V, polecając sobie przedstawić naczelników drużyn i wydając do wszystkich skautów orędzie z zachętą do dalszej gorliwej pracy nad doskonaleniem się fizycznem i duchowem.

Zjazd obecny przewyższy poprzednie bardzo znacznie zarówno liczbą uczestników, jak i rozległością programu. Obok ćwiczeń skautów, główną atrakcyą stanie się wystawa w Bingley Hall. Zgromadzi ona wszystkie gałęzie przemysłu i rękodzieła skautowego, przedstawiając równocześnie obrazowo drogę, jaką każdy skaut przejść musi, zanim osiągnie doskonałość. Będzie tu zatem bartnictwo, hodowla drobiu, mleczarstwo, ogrodnictwo, kowalka, stolarka, szewstwo, rymarstwo i t. p. Zwiedzający zobaczą urządzenia szpitali polowych, zapoznają się poglądowo ze służbą ambulansową i pożarniczą skautów i t. p. Ogółem obejmie wystawa 45 oddziałów.

Zaznaczyć wreszcie należy, że do udziału polaków w zjeździe przyczyniła się znaczną sumą galicyjska Rada Narodowa.

J.

Kronika sportowa.

STATYSTYKA OFIAR LOTNICTWA.

Ciekawe są dane statystyczne, dotyczące ofiar lotnictwa oraz katastrof z aeroplanami.

Zaczynając od amerykanina Selfridge'a, który zginął w końcu 1908 r. podczas wzlotu z pasażerem, do końca 1912 r. lotnictwo miało 245 ofiar. Liczba ta na lata poszczególne dzieli się, jak następuje: w 1908 roku — 1; w 1909 r. — 3; w 1910 r. — 30; w 1911 r. — 75 i w 1912 roku—136. Z pośród katastrof, 45 zdarzyło się podczas wycieczek z pasażerami, przyczem w 27 przypadkach zginęli pilot i pasażer, w 10 tylko pasażerowie, a w 7 tylko piloci. A zatem przy wzlotach z pasażerami zginęło 75 ludzi. Z ogólnej liczby 245 ofiar, 34 prc. przypada na lotników wojskowych. W r. 1912 procent wzrósł do 41,2.

Katastrof zdarzyło się 217, z tej liczby 111 na jednopłatach różnych systemów a 106 na dwupłatach. Szczegół znamienny, że znaczna liczba nieszczęśliwych wypadków nastąpiła przy użyciu aparatów nowej konstrukcyi.

W stosunku do krajów, liczba ofiar lotnictwa tak się dzieli: Francya 66, Niemcy 43, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej 41, Anglia 30, Włochy 18, Szwajcarya 16, Rosya 14, Belgia 5, Hiszpania 4, Bułgarya i Austrya po 3, Australia, Brazylia, Węgry, Grecya, Holandya, Chiny, Luksemburg i Japonia po jednej.

W przeciągu pierwszych czterech miesięcy 1913 r. liczba ofiar lotnictwa w całym świecie dosięgała już 45. Bez względu na to, że liczba ofiar w ostatnich czasach znacznie wzrosła, stosunek procentowy w porównaniu z ogólną liczbą wzlotów stale się zmniejsza. W r. 1910

Fot. J. Raszyński. Grupa uczestników VIII zlotu wioślarzy w Ciechocinku d. 12 maja r. b.

jedna ofiara przypadała na 32,000 kilom. lotu, a w r. 1912 na 156,000 kilom.

SPORT KONNY.

Wystawa koni w Warszawie. Na wystawę, mającą się odbyć w dniach od 11 do 15 b. m., zgłoszono ogółem 86 koni z działów: wierzchowego (53), remontowego (18) i roboczego (15).

Łódzkie Tow. wyścigów konnych urządza w drugiej połowie b. m. pięciodniowy meeting wyścigowy w połączeniu z popisami hippicznemi. Suma nagród wynosi rb. 18.500.

Wyścigi w Wilnie rozpoczęły się w dn. 18 z. m. W końcu z. m. odbyły się konkursy hippiczne. Między innemi, d. 25 maja rozegrano Wielki konkurs myśliwski dla jeźdźców gentlemanów z 3 nagrodami.

Stajnie polskie w Cesarstwie. W pierwszym dniu wyścigów konnych w Charkowie 500 rb. zdobyła „Nowa" L. Hryckiewicza, ze st. W. Kleniewskiego, i 500 rb. „Kaprys" Mantaszewa ze st. A. ks. Czartoryskiego.

W gub. radomskiej odbędą się w r. b. trzy wystawy koni: w Radomiu podczas wyścigów 16 sierpnia; w Ostrowcu w przeddzień remontu i w Staszowie w czerwcu.

SPORT WIOŚLARSKI.

Nagrody Wioślarzy. Tow. Wioślarskie Warsz. rozdało nagrody za rekord jesienny i konkurs ogólno-sportowy. Za rekord jesienny otrzymały nagrody następujące osady: 1) Łódź 6-wiosłowa „Dniepr"; 2) Łódź „Prosna" na 4 wiosła krótkie; 3) Ł. „Wieprz" na 12 w. krótkich. Pierwsza i ostatnia otrzymały żetony złote, druga srebrny.

Rekord wioślarski. Towarzystwo Wioślarskie w Kaliszu ogłosiło rekord 4-miesięczny dla wioślarzy wszelkich klas i łodzi z ruchomemi siedzeniami. Wioślarze, którzy przejadą w ciągu 4 miesięcy conajmniej 640 wiorst, otrzymają żetony pamiątkowe.

CYKLIŚCI.

Program sportowy T. C. W. na 1913 rok obejmuje konkurs na rowerach w sezonie letnim od 30 marca do 5 października, w sezonie zimowym od 30 listopada do 1 marca; konkurs motocyklistów od 30 marca do 5 października; konkurs fotograficzny i konkurs opisowy. W d. 31 sierpnia odbędzie się jazda rozstawna na przestrzeni około 80 wiorst, w d. 21 września wyścigi 10 i 25-wiorstowe, oraz wyścigi motocyklistów z wózkami na przestrzeni 100-wiorstowej. Ogółem dni wyścigowych na torze będzie 9 oraz jeden na szosie o Mistrzowstwo Królestwa Polskiego.

MYŚLISTWO.

Z Tow. Prawidłowego Myśliwstwa w Warszawie. Na ogólnem zebraniu członków warszawskiego Tow. prawidłowego myśliwstwa zatwierdzono budżet na r .b. na sumę 30,010 rub.; na członków rady wybrano pp.: W. Czaplickiego, Paszkowskiego, Szwedego, hr. Branickiego, B. Wysockiego i A. Żabczyńskiego; na członków wydziału hodowli psów rasowych pp.: Gniatowicza-Piłsudzkiego i H. Knothego, oraz p. Juliana Penkalę; na członków wydziału polowań wybrano ponownie pp.: W. Jacobsona i K. Pękosławskiego; na członków komisyi wyborczej pp.: Zarembskiego, Kurnatowskiego, Zborowskiego, Chomiczewskiego, Hertzberga, Oszkowskiego, Sztolcmana, Fabjana, dr. Rostkowskiego, W. Giełżyńskiego, Al. Giełżyńskiego, Stef. Złotnickiego, St. Ćwikiela i Jana Żelkowskiego.

Jubileusz pp. Cinisellich.

P. p. Aleksander. i Henrietta Cinisellowie, dyrektorstwo cyrku warszawskiego, którzy dn. z. m. obchodzili uroczystość srebrnych godów małżeńskich, rozpoczętą nabożeństwem w kaplicy Św. Wincentego á Paulo, a zakończoną biesiadą w gronie najbliższej rodziny i życzliwych.

Henrietta i Aleksander Cinisellowie.

SPROSTOWANIE.

W numerze poprzednim, w artykule p. t. „Pierwsza polska fabryka łodzi sportowych"—zaszła pomyłka. Pierwszą u nas w kraju polską fabrykę łodzi założył w r. 1906 p. Teofil Pycz, członek W. T. W.

DODATEK ILUSTROWANY.

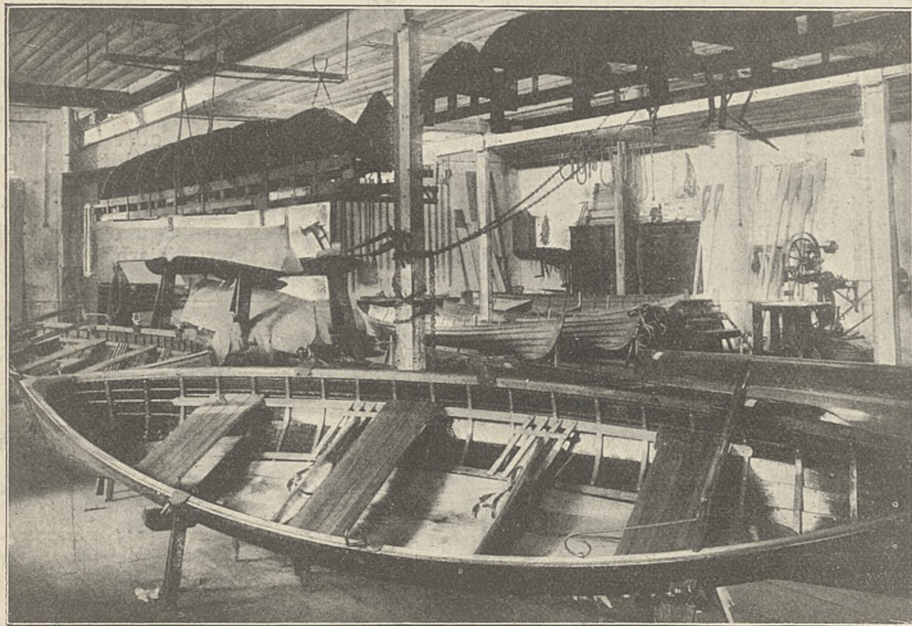

Polski wyrób łodzi sportowych.

Przemysł nasz należy, w porównaniu z innymi, do ubogich. Zalewają go zwłaszcza wyroby, nieraz tandetne, fabryk niemieckich. Z uznaniem też powitać należy każdą nowopowstającą u nas placówkę przemysłową, zwłaszcza taką, która odbiera dany dział z rąk pruskich.

Do szeregu takich placówek należy u nas i fabrykacya łodzi sportowych. Nasze towarzystwa wioślarskie, oraz amatorzy tego sportu, dotychczas zmuszeni byli łodzie sportowe sprowadzać z Niemec, płacąc za nie bajońskie nieraz ceny. Szare fale ukochanej naszej Wisełki i innych rzek naszego kraju pruły fabrykaty niemieckie.

Na dotkliwy ten brak w przemyśle naszym baczną uwagę zwrócił ruchliwy i przedsiębiorczy przemysłowiec, członek Warsz. Tow. Wioślarskiego, p. Teofil Pycz, postanowił temu złu zaradzić, a to przez założenie własnej fabryki łodzi sportowych.

Zamiar swój w czyn wprowadził w r. 1906. Rozpoczął od małego, powoli rozszerzając swą fabrykę, mieszczącą się w obszernym, specyalnym budynku przy ul. Solec, 103.

Dzięki przedsiębiorczości pana Pycza wyroby pruskie zostały powoli wyrugowane z naszych towarzystw sportowych. Przez lat cztery, to jest do czasu póki po 30-letniem istnieniu Warsz. Tow. Wioślarskie nie zaczęło czynić prób budowy łodzi w własnym warsztacie reperacyjnym, był on ich dostawcą, a ostatnio zaopatrzył w łodzie nowo powstały a nader sympatyczny klub wioślarek.

Że wyroby p. Pycza są dobre, i że w zupełności zastąpić mogą podobne fabrykaty pruskie, najlepiej świadczy z każdym rokiem wzrastająca produkcya.

Pomimo krótkiego, gdyż zaledwie sześcioletniego czasu istnienia, fabryka wyprodukować zdołała 250 łodzi sportowych, w które zaopatrzyła Tow. Wioślarskie, oraz wielu amatorów w Królestwie Polskiem i w Cesarstwie.

Wyroby fabryki odznaczają się doskonałością. Są to łodzie rasowe, typów hamburskich, wielowiosłowe.

Zresztą, zachwalać zbytnio nie potrzeba. Zna je dobrze każdy wioślarz, zna i ocenia...

Znalazła też ona właściwą ocenę na wystawie sportowej, gdzie wyroby jej nagrodzone zostały medalem srebrnym.

Życzyć tylko należy tej nowej a tak pożytecznej i jedynej placówce przemysłu polskiego dalszego rozwoju i rozkwitu.